

## 1.

**D**o Korei chciałem pojechać od zawsze. Jeszcze w czasach ekspedycji mongolskiej próbowałem namówić prowadzącego ją profesora Witolda Dynowskiego, żeby postarał się w PAN-ie o zgodę na taki wypad. Nie myślałem oczywiście o badaniu szamanizmu w Korei Południowej – trwał tam długoletni stan wyjątkowy, kraj był zamknięty dla przybyszów z Europy Wschodniej, a i stąd nikogo tam nie puszczano. W owym czasie szamanizm był zresztą praktycznie zdelegalizowany także i w tej niekomunistycznej części półwyspu – ale o tym dowiedziałem się dopiero później. Marzyć można było co najwyżej o badaniach w Korei Północnej – i tylko marzyć.

Fascynowało mnie wizualna mitologia systemu, sakralny język komunizmu, dopracowany jeszcze lepiej od radzieckiego. Z telewizji znałem kimirszenowską propagandę, pod względem formalnym najbogatszą w całym obozie. Te zbiorowe pierwszomajowe żywe obrazy na stadionach, gdzie setki ludzi na murawie z elektroniczną precyzją układało się w hasła i przedstawiało sceny powszechnego szczęścia. A tysiące tych na ławkach stadionu, wytresowanych na automaty, w ciągu ułamka sekundy zmieniały kolorowe paletki, tak by po scenach kwitnącej przemysłowej produkcji pokazać dzieci grające w piłkę, przy czym obraz tej piłki, stworzony na mgnienie oka z pałek, przelatujący z jednego końca trybuny na drugi. *Tremendum et fascinans*, przerażające i imponujące, bardzo straszne, a zarazem trochę śmieszne.

Oglądając propagandowe zdjęcia w gablocie przed ambasadą KRLD (wtedy jeszcze w Alejach Ujazdowskich, w pałacyku Ostrowskich), przeżywałem euforię poznawczą, bo pasowało to jak ulał do religioznawczych koncepcji Eliadego. Oto obrazki z Mangyeongdae – przemienionej w niemożliwie wyidealizowany skansen, rodzinnej wsi Wielkiego Wodza (dziś dzielnicy Pyeongyangu, czyli stołecznego Phenianu), gdzie spędził dzieciństwo. Razem ze zwożonymi tu masowo grupami, oprowadzanymi dumnie przez pionierów, oglądamy mityczną, świętą przestrzeń, w której *in illo tempore* dokonały się raz na zawsze, z mocą paradygmatu, wszystkie wydarzenia ważne dla przyszłości. Mały pionier z impertynentną dumą wskazuje grupie pokornie go słuchających i wzorowo notujących dorosłych ludzi dwumetrowy kamień i recytuje: „Oto skała zwana «Sanie» na którą Wielki Wódz wspinał się, ćwicząc ciało i ducha do walki z japońskim najeźdźcą” [w wieku lat dziewięciu]; „oto jezioro, w którym Wielki Wódz [w tym samym wieku] pływał, ćwicząc ciało i ducha do walki z japońskim najeźdźcą” itd.

W ten sposób poznawałem powtarzające się chwyt stylistyczne sakralnego języka komunizmu: „Lotnicy bronią nieba Ojczyzny jak stalowa twierdza”, a obok „Marynarka wojenna jak stalowa twierdza broni wybrzeża Ojczyzny” i jeszcze trzeci, podobny wariant. Po-

JERZY S. WASILEWSKI

## Etnolog w podróży

Konfucjusz przed kamerami,  
szamanki przy mikrofonie

glądowa ilustracja tez Michaiła Hellera czy Victora Klemperera na temat języka totalitarnej propagandy – upodobanie do kliszowych epitetów, wiecznych i niezmiennych.

Z rzadka trafiał się humor bezproblemowy a niezamierzony – efekt uboczny pracy niewprawnego ambasadzkiego tłumacza, np. zdjęcie tłumów na plaży z podpisem „Wszyscy lubią kąpać sobie latem w morzu” (którą to formę gramatyczną wprowadziliśmy z przyjaciółmi do codziennego użytku). Zmagałem się z niepojętością, a jednocześnie pękałem ze śmiechu.

Wszystko to czyniło z Korei kraj niezwykle pociągający.

## 2.

Liczyłem na związek emocjonalny profesora z Dalekim Wschodem, datujący się od czasów młodości w rosyjskim jeszcze wtedy Harbinie (uczucie to wykorzystał wcześniej Jacek Olędzki, namawiając go na zorganizowanie wyjazdów do Mongolii). Spotkał mnie gorzki zawód – profesor zareagował krótkim, zniecierpliwionym argumentem: „synu, ja nie lubię Korejczyków”.

Nie było dyskusji. Nie pamiętam nawet, czy spytałem go o powody tego osądu – pewnie sam sobie odpowiedziałem, że harbińscy Koreańczycy początków XX wieku, biedni sprzedawcy czosnku i kapusty, nie kojarzyli się dobrze profesorowi, który nie był wolny od etnicznych idiosynkrazji. Tak jak nie lubił Korejczyków, tak lekcewał Kitajców, ceniąc jedynie Japończyków (w młodości dostał w Japonii jakiś medal za ratowanie tonących). Wszelkie bardzo wtedy aktualne rozważania o zagrożeniu chińskim dla Mongolii, Rosji, a i Zachodu – stale przecież słyszeliśmy obawy Mongołów, że jak wejdą oddziały Mao, to wszystkich ich wykastrowują – zbywał machnięciem ręki, mówiąc, że on widział kiedyś chińskich żołnierzy z karabinami na sznurkach, jak jechali konno podrygując w siodle – tu sam kuczał i naśladował owo podrygiwanie – i nie wierzył w ich potęgę.



Początek szamańskiej ceremonii,  
Korea, Seul, fot. Jerzy S. Wasilewski

Pokłony przed ołtarzem ofiarnym,  
Korea, Seul, fot. Jerzy S. Wasilewski

Nie były to czasy poprawności politycznej, a profesor nigdy by się jej nie nauczył. Z pańskim okrucieństwem charakteryzował ludzi dokoła, stosując trójpodział, w którym rzadko tylko trafiał się „ktoś”, większość stanowią „pętaki”, a pośrodku są ci, którzy tylko aspirują do bycia kimś – czyli „podśmietanie”.

Opinia profesora o Korei jakoś zaciążyła na moich wyobrażeniach o ludziach i kraju. Spodziewałem się pewnej chamowatości w obejściu, na którą na pewno uczulony był profesor. Ostrzegają przed nią przewodniki, ale od razu tłumaczą konfucjańską mentalnością. Otóż każdy Koreańczyk zachowuje się stosownie do pozycji, jaką zajmuje względem partnera, wobec cudzoziemca, którego pozycja jest dlań nieczytelna, nie wie jakoby, ile respektu ma okazać – więc go ignoruje, przepycha się przodem, pokrzykuje.

Takie tam austriackie gadanie, którego tyle jest w antropologii – bo kto mądry, niech mi powie, dlaczego w takim razie południowokoreańscy deputowani tak chętnie okładają się w parlamencie pięściami?

Balem się, że Korea, jaką zobaczę, przegra w konfrontacji ze swoimi wybitnymi siostrami, że okaże się, tak jak koreańska porcelana, uboższa od chińskiej, a mniej wyrafinowana niż japońska. Bo wstyd przyznać, ale nie lubię tego, co stanowi o koreańskiej subtelności estetycznej – nie podzielam ani upodobania do porcelany wyłącznie białej, białawej i bialo-szarewej, z tysiącnymi niuansami i odcieniami, ani miłości do bladej zieleni tutejszej specjalności – ceramiki seladonowej, która jest dla mnie nudna i mdła.

Nawet – jeśli to ma coś do rzeczy – *Symfonia Koreańska* Pendereckiego wydaje mi się dziełem bez charakteru, brak w nim wyraźnej inspiracji.

Z Japonii leciałem do Seulu pełen obaw.

### 3.

Jakby na ich potwierdzenie, koreańskie metalowe paleczki wyraźnie mi nie leżą. Są płaskie, gorzej trzyma się je w palcach. Kiedyś robiono je ze srebra lub mosiądzu, obecnie są stalowe, nieprzyjemne. Japończycy mieli rację, także ryż jest tu gorszy – suchy, nieporównanie mniej soczysty.

Nicolas Bouvier (*Dziennik z wysp Aran i z innych miejsc. Kartki z podróży*, Warszawa 2000, s. 89) używa dla scharakteryzowania Korei Południowej lat siedemdziesiątych czyjegoś określenia „ulepszona prowizorka”. Przy wcześniejszym czytaniu niewiele mi to mówiło. Teraz jestem gotów je zaakceptować, widząc to połączenie nowoczesności i bylejakości, wysokiego potencjału eksportowego i zaniedbanej infrastruktury, charakterystyczne zresztą dla niejednego kraju, przechodzącego szybki rozwój. Patrzę na nijakie budynki i przestaje mnie dziwić to, czemu nie mogłem dać wiary w Mongolii: że tysiące Mongolów wyjeżdżają do Korei Południowej i znajdują zatrudnienie na budowach, mimo iż synowie stepu nie słynęli dotąd jako budowniczości, nawet według standardów własnego, niewymagającego pod tym względem kraju.

Nie znajduję w sobie entuzjazmu dla kilku spośród wynalazków, z jakich dumni są Koreańczycy. Słynny *ondol*, tradycyjny system ogrzewania podłogowego, nie robi dobrze drogom oddechowym, bo jak się śpi przy ziemi, to oznacza to noc z nosem w kaloryferze. Lepsze to może niż japońskie spanie przy piecyku na naftę, ale dawniej, gdy gorące powietrze szło z węglowego pieca kanalikami w spękanej, glinianej polepie, zaczadzenia nie były rzadkością. Masowe spożywanie ostrej kiszonki warzywnej (głównie z kapusty) *gimchi*, w polskiej wymowie *kimcz* – narodowego dania Koreańczyków, które ma w Seulu nawet swoje muzeum – nie poprawia statystyki zachorowań na raka żołądka. Kolejny ich wielki wynalazek, alfabet *hangeul*, nie jest ani taki łatwy, ani taki uniwersalny, jak zapewnniają. A jeszcze zamieszanie z nową, obmyśloną przez ministerstwo kultury transkrypcją, którą i w tym tekście muszę przyjąć zamiast starego McCune-Reischauera.

## 4.

I oto widzę tych zapalczywych deputowanych, nie w parlamencie jednak, lecz w świątyni, jak w skarpetkach podchodzą do ołtarza i składają ofiary. Ale po kolei.

Szamańskie seanse *gut* (pol. *kut*), jakie widziałem w Seulu, mają charakter publiczny. Współorganizowane przez władze lokalne (na poziomie dużej dzielnicy), odbywają się raz do roku w połączeniu z oficjalną konfucjańską ceremonią ofiarą *jesa* (pol. *dzesza*), tworząc z nią całość, w której na początku trudno się zorientować.

Pierwsze dni listopada, Yongsan – jedna z dzielnic Seulu. Architektura taka sama, jak w całym 15-milionowym mieście. Ciągące się jeden przy drugim, dwupiętrowe, byle jakie domy, przeważnie z lat 60. Na niejednym z nich nasadzona czarna, spiczasta, wysoka wieżyca – znak, że na piętrze ponad sklepem, warsztatem czy lokalem mieści się kościół katolicki lub protestancki. A gdzieś nad tymi wieżami, na drugim planie, widać nowocześniejsze, potężne mieszkalne wysokościowce. Od stacji metra jadę jeszcze taksówką, inaczej nielato byłoby mi trafić na miejsce płataniną wąskich ulic bez nazw (w tym mieście nazwy noszą kwartały, a nie ulice). Gdzieś wśród nich jest wzgórze, a na nim *Nam-i Janggun seodang*, lokalna świątynia, poświęcona generałowi Nam-i (inna, mała świątynka, w której też będę oglądał taką ceremonię, to *Aegissidang*, „Świątynia Dziecka” w osiedlu Haedang, poświęcona jakiejś niewymienionej z imienia małej dziewczynce).

Jaka to właściwie świątynia? Szamańska – nie, szamanizm jest praktyką interwencyjną, która nie potrzebuje stałych świątyń. Konfucjańska – tak też nie można powiedzieć, bo konfucjanizm to nie religia, ale system świeckich norm, reguł postępowania, raczej receptur niż treści. A przecież właśnie tu będą się odbywać obie ceremonie.

Ich fuzji, trwającej od XIX wieku, patronuje osoba opiekuńczego bóstwa świątyni, np. historycznej postaci średniowiecznego generała Nam-i, który był wiernym sługą swego władcy, ale niesprawiedliwie oskarżony, poniósł śmierć z ręki kata. W drugim przypadku, „Świątyni Dziecka”, patronką jest nieuchwytna historycznie postać jednej z trzech młodziutek siostr, mieszkających w którymś z pałaców (między tymi pałacami rozrzucone były wsie, które później zespoliły się, tworząc miasto Seul). Wrogowie napadli na pałac, dziewczęta uciekły na pustkowie, gdzie do jedzenia miały tylko trujące kwiaty forsycji. Po śmierci zbudowano im trzy świątynie – jedna nie dotrwała do naszych czasów, druga istnieje, ale nie zachował się w niej kult, tylko w tej trzeciej odbywają się raz w roku ceremonie.

W przypadku obu świątyń podobna jest logika wyboru postaci. Obie one stanowią dobry punkt zache-

pienia zarówno dla konfucjańskiego, jak i szamanistycznego świata wartości i wyobrażeń. Lojalny urzędnik, wierny władcy mimo oskarżeń, potem zrehabilitowany – cóż za okazja do apoteozy konfucjańskich wartości. Jego krwawa, niesprawiedliwa śmierć, podobnie jak nienaturalna śmierć dziewczyny, osoby o niedopełnionym losie, której groźny duch będzie się błakał po okolicy – idealny powód dla odbywania obrzędów szamańskich.

## 5.

Pierwsza część ceremonii, konfucjańska „wielka ofiara-libacja” *daeje*, pol. *taedze* (może zresztą w odniesieniu do koreańskiej współczesności powinno się mówić „neokonfucjańska”) rozpoczyna się rano. Na dziedzińcu przed świątynią gromadzi się około setki gości – prawie sami mężczyźni. Siedzą w rzędach, z przodu paru deputowanych z tego okręgu, oficjele z władz miasta, lokalni przedsiębiorcy. Najważniejsi mają na sobie czarny ceremonialny strój dawnych dworskich urzędników. Ubranie to czy tylko przebranie? Co tu jest „prawdziwe” a co „sztuczne”, co naturalne, a co na pokaz? Pytanie o autentyczność i jej kryteria będę sobie często stawiał, obserwując różne epizody i zachowania.

Po kolei, rozpoczynając od najważniejszych gości, przebiega ta sama ceremonia. Dygnitarz wstaje z miejsca, podchodzi do wejścia, obmywa dłonie, wchodzi na schody – powoli, po jeden krok na stopień, z dostawieniem drugiej nogi. We wnętrzu klęka i składa serię głębokich pokłonów przed ołtarzem, gdzie obok Konfucjusza i patrona świątyni widnieją też wizerunki postaci rodem z buddyzmu i kultów lokalnych. Stoją tu już piramidy ofiarowanych ciastek ryżowych, piętrzą się owoce późnej jesieni – persymony, pomarańcze, jabłka, suszona żożoba. Na tacach rozłożone są solone ryby i duże porcje mięsa.

Ofiara z wina (słabej wódki, bo *soju* to oczyszczony, szlachetniejszy destylat popularnego wina ryżowego), którą po trzykroć składa każdy z urzędników, ma swoje niuansy. Kolejność nalewania, z której strony, w jakim kierunku – nic dziwnego, że ceremonię prowadzi dwóch śmiertelnie uroczystych oficjantów, którzy mają opanowane przepisy kultowe i podpowiadają, wręcz prowadzą ruchy dygnitarzy. Trzeci, stojący przed mikrofonem u wejścia, komentuje dla zgromadzonych na zewnątrz wszystko, co odbywa się w świątyni. Mnie wolno być w środku – jestem tu jedynym cudzoziemcem, gościem niezaproszonym, ale trochę honorowym.

I chociaż mam obok i naprzeciw siebie stadko fotografów i filmowców, ich kamery i błysk fleszy, to patrząc na gesty nalewania alkoholu do naczyń, które kształtem powtarzają chińskie brązy *gu* sprzed kilku tysięcy lat, nie mogę oprzeć się uczuciu, że uczestniczę w akcie naprawdę archaicznym.

Po kostiumowo ubranych dygnitarzach podchodzą mężczyźni w garniturach – przeważnie liderzy miejsco-

wego biznesu. Składając pokłony świecą skarpetkami, bowiem w odróżnieniu od urzędników, noszących do kostiumu starodawne wysokie buty, wchodząc do świątyni muszą zdjąć obuwie.

Na końcu składa ofiary grupka kobiet – dwie występujące dziś szamanki i kilka ich asystentek. To już mało ważna ceremonia – oficjanci kierują ruchem rozluźnieni, bez żadnej solenności, po domowemu – zdjęli nawet stroje i teraz trochę rażą ich kraciaste koszule.

Wszyscy opuszczają dziedziniec, by przemaszerować przez dzielnicę wraz z paradą historycznych postaci. Ruch samochodowy wstrzymany, generał jedzie na koniu, a jego uformowani w oddziały żołnierze (licealiści miejscowych szkół, zwiezieni autokarami) z poświęceniem dźwigają halabardy, dmą w trąby i wałą w bębny.

Wokół całego, długiego na kilometr korowodu biega ubrany na biało kat, *mangnani* – ten, który uśmiercił generała. Twarz ma poczernioną, dziką, włosy w strąkach, w ręku krótki miecz, którym wymachuje przed nosem przechodniom. Jak każdy taki dzoker spoza talii, *mangnani* musi też ganiać na posyłki. Działając na obrzeżu, przydaje się do przekazywania poleceń i wiadomości między czołem a ogonem pochodu.

Niby stara się być śmieszny, a zarazem groźnie demoniczny, ale po prawdzie kunsztu nie ma w tym wiele. Gdy podbiega do ludzi, oglądających paradę z chodnika, usiłując rozśmieszyć ich udawanym zagrożeniem, to zamiast rozbawienia dziewczyn, przed którymi najchętniej błaznuje, udaje mu się osiągnąć co najwyżej śmiech zażenowania albo odprężenia, gdy już sobie pójdzie dalej. Ulica nie podejmuje gry w niepoważność, czasem ktoś powie, że nie ma na co patrzeć i wraca do swoich spraw.

Przemarsz trwa dobrą godzinę; przeszedłszy najważniejszymi ulicami wracamy na wzgórze, na uliczkach którego już czeka poczęstunek. Setki ludzi rozgrzewają się gorącymi daniami i słabymi alkoholami. Siedzimy na kartonach i matach rozłożonych na asfalcie. Festyn, wspólnota, przypomnienie wsi, którą ta dzielnica była jeszcze w czasach młodości wielu uczestników.

## 6.

Wracamy do świątyni, gdzie zaraz rozpocznie się *kut* – obrzęd szamański. Poznicali urzędnicy w historycznych kostiumach urzędników – teraz jesteśmy we władzy kobiet. Zostało wprawdzie paru przedsiębiorców, którzy współfinansują ceremonię, ale to zwyczajne, starsze kobiety stanowią widownię. Siedzą na ziemi, twarzami do specjalnego ołtarza – prowizorycznej świątynki, ustawionej z boku dziedzińca (prawdę mówiąc, jest to tylko tekturowa fasada, zgrabnie tu dziś umieszczona), przed którą piętrzą się ofiary. Ale na tle takich samych jak w części konfucjańskiej ciast i owoców, na froncie zostają złożone trzy wielkie, świeżo wypatroszone wieprze. Imponującej wielkości, leżą z wyciągniętymi nogami między ołtarzem a ułożoną

przed nim z arkuszy dykty sceną – to one są najkosztowniejszym i najpoważniejszym składnikiem całej ofiary. Przedtem miała miejsce ich prezentacja w dzielnicy – obniesiono je po uliczkach wokół murów świątyni.

Już wcześniej szamanka *mudang* i jej asystentki oczyściły miejsce akcji: oblały dziedziniec tanim, mętym winem ryżowym *makgeolli*, rozrzuciły na zewnątrz trochę ciastek, by na granicy zatrzymać duchy niepożądane i złe. Obok sceny zasiada na ziemi orkiestra: duży klepsydrowy bęben, mniejszy bębenek, smyczek, dwa flety. Szamanka z pomocą asystentek kończy wreszcie przygotowania (z tyłu stoi długi wieszak z kompletem jej kilkunastu kostiumów, które będą używane w tym występie) i wchodzi na podium. Lee Myong ok to sześćdziesięcioletnia, zażywna kobieta, o mocno umalowanej twarzy. Ustawicznie chodzi po scenie, od asystentek domaga się poprawek w stroju, rozmawia z publicznością, podśpiewuje, sprawdza miniaturowe mikrofoniki, umocowane – nie wiem jeszcze po co – przed ustami.

W którymś momencie to chodzenie zmienia się w regularne, na polu taneczne kroki wzdłuż i wszerek, połączone z melorecytacją. Zaczyna się wzywianie kolejnych duchów, których w sumie przewinie się przez scenę kilkanaście. Dowiaduję się, że język jej tekstów jest tak archaiczny, a śpiew na tyle niewyraźny, że nawet Koreańczykom zrozumienie ich przychodzi z trudnością. Wiem tylko, że wyśpiewywane przez nią opowieści to mity (od kosmogonicznych poczynając), legendy na temat bóstw i duchów, a nawet baśnie. Kiedy tańczy ze sztandarem, postukując nim o ziemię, zgaduję, iż przywołuje ducha generała – patrona świątyni. Zaraz potem przebiera się w zbroję wojownika – znaczy to pewne, że odgrywany jest jakiś epizod z jego udziałem.

Akcja toczy się niespiesznym rytmem. Całość potrwa z przerwami do nocy, teoretycznie obejmując 12 epizodów, ale to chyba tylko liczba symboliczna, wyrażająca całość. Szamanka przebierze się kilkakrotnie, za każdym razem nakładając strój innego ducha, by ten mógł poznać, że teraz jego kolej na to, by w nią się wcielić. Czasem w tańcu zmienia ją lub na krótko towarzyszy druga, wyraźnie starsza szamanka, zwyczajowo doproszona – na znak honoru – przez tę, która jest niekwestionowaną gospodynią obrzędu.

Osoba generała Nam-i pojawia się w seansie jako jedna z pierwszych. Mogę się tego domyśleć po wysokim sztandarze, którym postukuje szamanka, a później po nowym stroju – zbroi wojownika. W międzyczasie recytowana jest legenda, prezentująca rys szamański tej postaci. Otóż okazuje się, że kiedy Nam-i był jeszcze młodzieńcem, dostrzegł pewnego razu niewidzialnego dla innych demona; siedział on na koszu z owocami persymonu, wnoszonym właśnie do sąsiedniego domostwa. Pokonując opór służby, z krzykiem wbiegł do środka i zastał tam córkę gospodarza,

już prawie uduszoną. W ostatniej chwili odpędził swą mocą demona.

Atmosfera na widowni daleka jest od jakiegokolwiek religijnego uniesienia, nic nie świadczy o odczuciu obecności duchów. Kobięca publiczność ogląda spektakl z zainteresowaniem, ale bez przejęcia. Z czasem przychodzi zapewne znużenie, robione są dłuższe przerwy. Wtedy roznoszony jest poczęstunek, mętno-mlecznej barwy wino *makgeolli* leje się strumieniami z plastikowych butelek, towarzystwo bawi się w grupkach.

Ale przecież duchy naprawdę wstępują w szamanekę. Drogi ich zstępowania są różne. Niektóre przysiadają pewnie na belce stropowej – można nawet zobaczyć, jak schodzą: szamanka podchodzi tam wraz z kobietą z widowni (to klientka, dla której robiona jest ta część seansu). Ta sosnową gałązką dotyka belki, aż gałązka zaczyna się trząść – widomy znak obecności ducha, po czym obie zasiadają za stolikiem do uroczystego z nim spotkania. Takich prywatnych, zamówionych epizodów będzie zresztą więcej.

## 7.

W miarę oglądania seansu narasta we mnie – co tu kryć – rozczarowanie. Czy koreański *musok* to w ogóle jest szamanizm? Za tym, że tak, przemawiają wprawdzie nazwy, w których rozpoznaję altajskie, wręcz mongolskie źródłosłowy. Nazwa obrzędu szamańskiego *gut*, wymawiana *kut*, brzmi prawie jak *kutu* (g) – „szczęście, dobry los” w językach ludów stepu. Szaman-mężczyzna, *baksu*, *baksy*, to oczywiście to samo, co środkowoazjatyckie *baksy* – „szaman”, a też „bard, wykonawca eposów” (z chińskiego *fa-hsi*, „mistrz”, przez mandżurskie i mongolskie formy typu *bagszi*). Szamanka, *mudang* – też brzmi znajomo, można słyszeć w nim mongolskie *udagan* o tym samym znaczeniu.

Ale przecież szamanki, jakie dopiero co widziałem w Mongolii, wyglądały zupełnie inaczej. Stara Uldzij czy niewidoma Cend – to były intrygujące postacie, których sam wygląd – przygięte wiekiem sylwetki, intrygujące fizjonomie – wyrażał osobowości ukształtowane w wieloletnim związku z ponadcodzienną rzeczywistością. Ich wiekowe, poniszczone stroje, do których odnosiły się z takim nabożeństwem, istne „święte łachy”, miały w sobie coś z prawdziwego *sacrum*, podczas gdy te kostiumy jak spod igły, z lśniących, nowoczesnych materiałów, w ogóle nie mają potrzebnego we wszelkiej duchowości uprawomocnienia przez odwieczność.

Powoli dopiero zacznie do mnie docierać, że powinienem inaczej odczytywać wartości leżące u podstaw koreańskiego szamanizmu. Jest to bowiem raczej kompleks produkcji artystycznych, rozbudowany w stopniu niespotykanym nigdzie indziej w świecie. Istny wielobój sztuk pięknych, gdzie sukces szamanki mierzy się w takich dyscyplinach, jak taniec, śpiew i recytacja

mitów, legend oraz baśni, dalej sztuka wróżenia, rozmowy i przekomarzania się z publicznością, a wreszcie kostium, kosmetyka, a nawet sztuka robienia papierowych kwiatów.

Czekam na ekstatyczne zachowanie, które przekonałoby mnie, że mam do czynienia z „prawdziwym” szamanizmem. Logika jest tu taka, że szamanka powinna w każdym epizodzie tańczyć na początku dość żywiołowo, by duch zobaczył, iż jest gotowa na jego przyjęcie, a potem, gdy on przybędzie – przejść do form spokojniejszych, bardziej artystycznych, aby go takim szlachetniejszym tańcem zabawić. Mogłoby się nawet zdawać, że element transowy nie jest tu taki ważny. Przedstawienia szamanów na sakralnych malunkach są bardzo spokojne, także standardowa maska postaci szamanki w dawnych ludowych przedstawieniach maskowych jest absolutnie spokojna, biała, bez żadnego grymasu.

Nie znaczy jednak, że w seansie nie ma euforii. Bywa, że *mudang* przez dłuższy czas podskakuje obunóż, z ramionami wzniesionymi do góry, wykrzykując w uniesieniu. Działa to zaraźliwie, bowiem na scenę wbiega któraś z kobiet z widowni i z rozanieleniem na twarzy, stając frontem do szamanki, jednocześnie z nią podskakuje jak sprężyna.

Istnieje podobno koreańskie powiedzenie: „chciałabyś wydać szamański seans, ale przeraża cię wizja twojej synowej w tańcu”. Słowa te stosują się do teściowej, tradycyjnie stanowiącej instancję kontrolną dla młodej synowej, dla której taki występ może stać się pokusą rozpasanej ekstatyczności.

Szamanizm to w Korei domena kobiet. To one zdecydowanie przeważają, zarówno wśród wykonawców (jest ich bodaj ok. 80% spośród ponad stu tysięcy zarejestrowanych szamanów), jak i wśród odbiorców (na widzianych przeze mnie seansach ten procent był jeszcze wyższy). Oczywiście, etnologowie nie skąpią wyjaśnień. Zwraca się np. uwagę, że w tym patriarchalnym społeczeństwie (męska dominacja to kamień węgielny koreańskiego neokonfucjanizmu) kobiecie nie przysługuje prawo do rozkoszy, także seksualnej, więc szamanizm stanowi klapę bezpieczeństwa. Zdają się to potwierdzać przypadki szamanek bezżennych, wśród których jest sporo takich, które porzuciły mężów. Deklarują one, że żyjąc ze swymi mężami nigdy nie zaznały takiej rozkoszy jak teraz, gdy przychodzi do nich duch.

Obserwuję, z jaką radością starsze panie przyjmują słowa szamanki, która udziela im wróżb i przestróg. W oparciu o kolor chorągiewki, wyciągniętej na ślepo z podawanego zestawu, zapowiada radosne wydarzenia, a w najgorszym razie ostrzega przed niebezpieczeństwem, co praktycznie sprowadza się do tego, że radzi uważać np. na samochody na przejściu. Po przepowiedni kobiety ochoczo wciskają jej do rąk banknoty.

Bycie *mudang* daje satysfakcję nie tylko seksualną. Poza wszystkim to bardzo popłatna profesja.

## 8.

Nie jeden raz w trakcie seansu szamanka znajdzie okazję, by zadbać o datki. Czasem obchodzi kobiety ze słowami: „To dla was muszę być piękna, dajcie mi pieniądze na kosmetyki”. Może zresztą wypowiada je duch dziewczyny imieniem Hogu, o twarzy zeszpeconej ospą, bo taka postać też funkcjonuje w szamańskim panteonie i bywa przywoływana w seansie jako patronka chroniąca od tej choroby.

Pieniądze wręczane przez kobiety to przeważnie banknoty pięciomanowe (czyli pięć tysięcy wongów – równowartości czterech dolarów), a więc połowa tego, co składają mężczyźni. Mężczyźni nie wypada położyć banknotu innego niż ten o największym nominale – 10 manów. Ale ludzie interesu nie podejną do szamanki po wróżbę za drobne – sami zanoszą pieniądze na ołtarz, gdzie kładą je na głowach ofiarnych wieprzy, i to w pliku. Skądinąd, szamanka umie ich do tego sprowokować – zartami, docinkami albo wręcz zabawnym przymusem: wlokąc go z asystentkami za obie ręce, ze śmiechem zaciągną opierającego się przed tą platnością (nie pierwszą już dziś) do samego ołtarza. Uściwwszy, a potem zdjawszy buty i poprawiwszy garnitur, delikwent klęka i wybija głębokie pokłony.

Ten, kto podejrzewałby, że jest to tylko forma auto-reklamy biznesmenów (tak jak o zamiar przypodobania się wyborcom można było posądzać przebranych do kamer oficjeli w części pierwszej), niech łaskawie zauważy, iż podchodzą oni do ołtarza także wtedy, gdy akcja przenosi się gdzie indziej, by niezauważenie dołożyć jeszcze trochę banknotów. Chyba poprzez pieniądze najlepiej widać, jak w szamańskim obrzędzie splata się to co naturalne i co wymuszone, co autentyczne i co na pokaz.

*Gut* organizowany jest lokalnie, ale finansowany bywa odgórnie. Nie jest to ceremonia tania. Wiem, że na jeden z oglądanych przeze mnie seansów władze miasta wyasygnowały dla samej tylko szamanki i jej zespołu równowartość trzech tysięcy dolarów. Koszt indywidualnie zamawianego seansu jest zbliżony. W koreańskich rodzinach *gut* urządza się przy kilku standardowych sytuacjach. Po pierwsze – w chorobie, gdy trzeba odpędzić złe duchy postaciujące jej przyczynę. Po wtóre – gdy trzeba zapewnić narodziny syna (a trzeba, bo bezdzietni, pozbawieni szansy synowskiego kultu, zostaną po śmierci błędnymi duchami, a nie przodkami, których się czci). Po trzecie – na pożegnanie zmarłego, by jego dusza została odprowadzona w zaświaty, oraz w żałobie (zwłaszcza jeśli śmierć miała charakter tragiczny i trzeba żywym zapewnić spokój ducha).

Typowa sytuacja, w której prywatnie zamawia się seans, to także stan żalu, rozczarowania, zawodu, poczucia goryczy lub pretensji, co wyraża się jednym koreańskim słowem *han*. Natomiast organizowany w miejskiej dzielnicy *gut* ma na celu zapewnienie ogólnej pomyślności. Ogląda się go chyba także z nostalgii

za dawnymi, dobrymi czasami prawdziwej, jeszcze wtedy wiejskiej (czy lokalnej) wspólnoty.

Nowoczesna Korea powraca do swej kulturowej specyfiki, odszukuje i utrwała to, co się zachowało. Tradycję traktuje się urzędowo. Dofinansowanie dostają tylko te obrzędy, gdzie zachowana jest wierność wobec form tradycyjnych, stwierdzona ciągłość zwyczaju oraz ustny przekaz oryginalnych tekstów, i to zachowanych w pamięci, a nie na piśmie! W składzie komisji, która o tym decyduje, jest etnograf, który wyszukuje i dokumentuje takie zjawiska. Podobnie jak zabytki kultury materialnej, najlepsze formy zostają sklasyfikowane i ponumerowane. W tym katalogu obrzędów, obchodów świąt, przedstawień maskowych i odprawiających je ludzi, wszystkie elementy dostaną swoje etykiety: „Żywy Narodowy Skarb Kultury”, „Niematerialne Okręgowe Dobro Kulturowe”, „Ważny Materiał Folklorystyczny nr 55”. Numerowanie tradycji.

Jej przekaz nie odbywa się przecież samoczynnie – to wieloletni proces uczenia się, nabywania umiejętności, praktykowania. Opanowanie wszystkich szamańskich sztuk trwa 10-20 lat, w czasie których asystentka pracuje, a czasem i mieszka z szamanką, przejmując jej wiedzę. Teraz już rozumiem, dlaczego szamanka ma przymocowany malutki mikrofon, od którego przewód idzie pod kostium. Gdy się przebiera, widać, że nosi przywiązany w pasie kasetowy magnetofon. Zapewne jej uczennice będą korzystać z kaset z nagrany występem, ucząc się śpiewów i tekstów.

Przekazywanie daru szamańskiego następuje w dwóch kierunkach, dwa są bowiem typy szamanów: dziedziczni i z powołania. Urząd po szamance może objąć jej córka, przeważają jednak przypadki, gdy adept podejmuje decyzję w wyniku nieodpartego powołania, manifestującego się jako rozstrój albo choroba.

W trakcie jednego z seansów poznaję mężczyznę, który stanowi taki właśnie przypadek. Lat trzydzieści, stylowy, by nie powiedzieć dandys, przyszedł z przyjacielem i dwiema kobietami efektownymi i szykownie – w markowe europejskie stroje – ubranymi. W pewnej chwili wstępuje boso na scenę i zaczyna podskakiwać na palcach, do pary z szamanką. Ręce w górę, oczy zamknięte, na twarzy uniesienie. Wykrzykując opowiada, że zostanie szamanem, prosi duchy o pomoc.

W rozmowie próbuję dowiedzieć się, dlaczego chce zostać *baksu*. Jego ojciec, majątny przemysłowiec, błaga, by tego nie robił (status szamana-mężczyzny w społeczeństwie jest dość niski, nawet mimo wysokich zarobków). On jednak wie, że musi nim być – potrafi objaśnić to tylko słowami, że ma chwile przerażenia, iż stałoby się z nim i jego rodziną coś straszliwego, gdyby się tego wyrzekł.

Przyjacieli traktuje go jak swego mistrza, mimo że – jak sam mówi – w odróżnieniu od niego w ogóle nie wierzy w szamańskie duchy. Chce bowiem przy nim wglębiać się w różne formy nauk ezoterycznych, by zrozumieć samego siebie i poznać swoją przyszłość.

## 9.

Następuje kulminacyjny moment ofiary – jeden z wieprzy zostaje z męską pomocą podniesiony i nabity od spodu na krótkie trójzębne widły, które teraz trzeba postawić pionowo, tak by całość wyraźnie ustawiła w równowadze przez dłuższą chwilę. Będzie to znak, że duchy przyjęły ofiarę, a tym samym sprawdzian skuteczności szamanki jako ofiarniczki, toteż krząta się ona przy ofiarowaniu, prowadząc rozmowę z duchami. Ale najbardziej pomoże dłożenie pieniędzy wprost w rozarty wieprzowy ryj. Znowu zostanie do tego wciągnięty jeden ze sponsorów w garniturach.

Demonstracją mocy szamanki byłyby też klasyczne triki. Należą tu: cudowne, samoistne utrzymywanie się u warg ciężkiego naczynia z wodą, wbijanie noża w pierś albo stąpanie po ostrzach służących do siekania słomy, a wreszcie połykanie niekończącej się długości wieprzowych jelit. Proszę mnie nie pytać, jak to się naprawdę robi – tych sztuczek na seulskich seansach nie widziałem.

Na zakończenie szamanka pokazuje, że bierze na siebie problemy i ciężary wszystkich obecnych, tyle że zastąpi ją w tym dużo młodsza i silniejsza asystentka. Z zarzuconym na plecy wieprzem ofiarnym, ugięta pod jego ciężarem, obiega uliczki wokół murów świątyni generała, a pot zalewa jej wykrzywioną ze zmęczenia twarz.

W „Świątyni Dziecka” seans kończy się jeszcze mocniejszym akordem. Zło zostaje wygonione poza bramę i tam uśmiercone. Przeniesione zostanie najpierw na zupełnie zwykłą kurę, który przechadzała się

od rana po dziedzińcu, uwiązana za nogę. Teraz przyszedł na nią koniec. Starsza szamanka – gość honorowy – ma już w rękach łuk i strzały, którymi ją zabije. Po kilka razy strzela do niej mało celnie, podbiega, rzuca o ziemię dalej w stronę bramy, znów strzela i znów rzuca o ziemię, aż wybiegnie z nią poza bramę, gdzie ją wreszcie zabije (nie jestem tylko pewien jak, bo działa błyskawicznie, ukrywając ruchy, słabo je też widać w ciemności, ale pewnie dorżnie kurę nożem, bo strzały raczej chybiały celu).

## 10.

Zapał już zmrok, opustoszał dziedziniec świątyni, całodniową uroczystość zamyka krótka, melancholijna w nastroju ceremonia.

Dwie asystentki, w tym córka szamanki, zbierają i palą paski papieru z nazwiskami osób finansujących uroczystość. Na tych rozwieszonych wszędzie białych wstęgach wypisane są nie tylko imię i nazwisko, ale też rok, miesiąc, dzień i godzina urodzenia – pełen zestaw danych astrologicznych, służących do identyfikacji człowieka i jego losu.

Dziewczyny siadają przed bramą wyjściową i kolejno wycytując, czy raczej nucąc te dane, podpalają paski. Podrzucają je w górę, a gdy opadają – lekkimi ruchami ramion po kilkakroć podbijają, tak by do końca spłonęły w powietrzu, przekazując gdzieś wyżej informację o ofiarodawcach.

Opadające płomyki, taniec unoszących je rąk i ciche, ledwie słyszalne śpiewanie. Prosta melodia, wielkiej symfonii zbudować się z niej nie da, ale będzie do mnie wracać czasami, wieczorem.